

Przebiegli koło mnie trzej, którzy uciekali,
— a potem po świeżym tropie
galopowały konie ze swoimi Ludźmi...
Przytem słychać było: pif! paf!
— a echo szczekało po Puszczy...
Małpy śmiały się ze strachu,
— papugi czerwone pofrunęły na miejsce odległe —
słabsze stworzenie uciekło poza obręb,
a Sęp krakał radośnie,
bo krew dała się czuć w powietrzu.
I nastąpił moment,
że trzej bez koni ogłądali się na tych, którzy byli z tyłu
i zobaczyli ich tuż, tuż za sobą — i zaczęli krzyczeć.



Co potem?

Potem strzelające patyki zaczęły płuć ogniem —
— a Ludzie pluli krwią...
Trzej przewrócili się jeden po drugim.
Dwa konie straciły z grzbietów swoich dwóch —
— a sześciu, którzy zostali, wymachiwali kapeluszami
i wyli, jak szakale: Hurra! hurra!

To wszystko,

rozdrażniło mądrego Słonia,
(którym byłem Ja)
i kazało mu na chwilę oszaleć pożądaniem krwi.
To też zaryczał potężnie i zatrafił Słoń
(którym byłem Ja)
i dostał drapieżnego udaru w głowie między uszyna,
— machnął trąbą w złych zamiarach
i oderwał łeb Człowieka od kadłuba.
A konie kwiczały,
i uciekły na obszar trawiasty —
Ludzie zaś skakali i padali i gonili i strzelali —
— a jeden przestał oddychać i miał krew na sobie pod sobą.
A mądry, zrównoważony Słoń,
(którym byłem Ja)
poszedł do lasu na czterech nogach,
bardzo prędko,
bo go ścigali i kaleczyli z rur ognistych
i znikł im z oczu —
aby potem uspokoić się i uciszyć serce
i jeść powolutku pulchne strączki akacji...

Ale od tego czasu

przestałem być zwyczajnym, porządnym Słonem,
a stałem się tem:

którego nazywają: „Słoń Samotnik“,
(bo jest samotny, zdziczały, napada i zabija).

Bali się mnie wszyscy.

Słonie uciekały przedemną już na sto długości trąby,
Bawoły chowały łby między nogi, aby nie widzieć.
Antylopy skaczące na milę odemnie już obwąchiwały wiatr,
Lamparty przesmykiwały się ostrożnie z miękkim spodem
na łapach i pazurach, aby nie zaszeleścić w ciszy na
złość Panu.

A jam był Panem Puszczy, —
dziki, zły, rozjuszony i srogi z wielkimi kłami pod trąbą.

I oto jednego wieczoru

nał smutnem, boleśnie szumiącym jeziorem
załzawionem skargą, poruszaniem wiatrem sitowia,
gdy był straszliwie groźny zachód słońca,
a powietrze i ziemia pływały w kolorze miękkim,
ja dostałem obłędu pychy.
Hrrmfaha! Ooo! Uuu! —
Bo uderzył mi do głowy zapach trawy po deszczu
i jednostajny plusk fal na jeziorze
i sędziwy szum-szałest Dżungli
i zdławione ryki zwierząt w głębi czarnej Puszczy.
I poczułem się na rozkraczonych, grubych nogach
w całej jędrnej mięsistości stu pokoleń
od mamutów po dzień dzisiejszy. —
I poczułem się mocarz w stawach i przegubach.
Bo mi szła taka wieczna potęga od środka nieba
do środka ziemi, przez mój stos pacierzowy.
Bo mi naszło do płuc za dużo wiatru,
bo mi wściąkło do krwi zawiśle wilgoci z przestrzeni.
I począłem otwierać szeroko szczękę i żuć niebo



I ryczeć w szale.

Hrrmfaha la! Ooo! Uuu! Ramatlabana! Umba!
Jeden jest Urum-Baba
i jedna jest ziemia z należącym do niej niebem!
Nie może być takich dwu na jednej ziemi!
Przeto wynoś się z mojego obrębu Trąbo! Wszzechmocna...
Wynoś się w próżną dziurę, gdzie niema nic!
Bo wyrwę z korzeniami tysiące baobabów
i będę ciskał w Ciebie raz po raz,
aż zostaniesz zgnieciona na płask —
do samego końca!!!